

# Przyjaźń Poddana wielkiej próbie i marzenie, które staje się ciężarem

Lato 2002 roku. Czekając na powrót rodziców z wielkiego miasta, siedmioletni Szymon układa monety na torach. Nie wie, że jego życie już nigdy nie będzie takie, jak dotychczas.

Kilka dekad wcześniej jego babka, Tośka, wyrusza w podróż, którą zapamięta na zawsze. Wyrwana z bezpiecznego domu dziewczynka trafia do obcego świata, którego zasad musi się nauczyć. Jako dorosła kobieta stanie przed konsekwencją swoich dawnych wyborów.

Losy tych dwojga splatają się w sposób, którego żadne z nich się nie spodziewa. Zmuszeni żyć ze sobą, pomimo różnic, Szymon i Tośka próbują zrozumieć się nawzajem i uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.

*Strata. Zaczynanie życia od nowa: bez rodziców, bez męża, bez palców, bez domu i bez pomysłu, jak będzie wyglądać nowe. Mozolne wdrapywanie się po kolejnych dniach, w nowych okolicznościach. Wszystko będzie dobrze, powtarzają wokół. Brzmi niczym ulubiona mantra Polaków na skraju. Rdza pozostawia ślad na długo.*

Sylwia Chutnik

*Brakowało wam polskiej powieści współczesnej, napisanej z naprawdę epickim rozmachem? Oto ona - rozgrywająca się dziś i przedwczoraj, porywająca Rdza autora kultowego już Dygotu.*

Piotr E

MBP Cieszanów  
Rdza /



0000015949

PATRONAT MEDIALNY:

lubimyczytać.pl

WIELKIWIOL.COM  
WYDARZENIE ROKU 2015

BUK  
BUK

BOOKLIPS.PL IIII

Rdza  
Jakub Małecki

Rdza



SON  
WYDAWNICTWO  
THE GEM BOOK

Jakub  
małecki

Autor "Dygotu" i "Śladów"

MAŁ

ROZDZIAŁ ÓSMY  
pięćdziesiąt siedem lat  
wcześniej

**M**atka wiadomość o ciąży przyjęła rozczarowująco dobrze – jakby jej ulżyło, że coś ma już z głowy. Kilka dni po tym, jak Tośka z dudniącym sercem przyznała się jej do tego, w co sama jeszcze nie bardzo wierzyła, uświadomiła sobie, że liczyła trochę na jej krzyki, na lamenty, na załamywanie rąk. Na cokolwiek, co pozwoliłoby jej wierzyć, że to niewidoczne życie w jej brzuchu jest ważne, nawet jeśli ona i Karol nigdy ważni nie byli.

Pod koniec ciąży myślała prawie tylko o nim. Otulona grubym płaszczem i szalem chodziła na cmentarz w Grzegorzewie i próbowała wyobrazić sobie świat w przyszłości, świat z tym dodatkowym człowiekiem, o którym nic jeszcze nie wiedziała.

Czasami, leżąc w ciemnościach i wyczekując snu, słyszała znajome skrzypnięcie drzwi i szept, jakby zawstydzony:

– Moge?

Kiwała na niego głową i obracała się, tak żeby leżeć twarzą do niego. Michał siadał przy jej łóżku i prosił, by opowiadała, jak się czuje. Przykładał jej głowę do brzucha, słuchając rozrastającego się w niej życia. Na początku, latem, przynosił kwiaty. Zresztą, cały dom był w kwiatkach – wisiały ususzone pod sufitem, w mniejszych, większych pękach, i wypełniały dom

zapachami. Opowiadając bratu o tym, co się dzieje w głębinach jej ciała, Tośka słyszała w końcu szelest głowy składanej w pościeli. Michał zasypiał na siedząco. Niedługo później, z palcami zatopionymi w jego bujnych włosach, zasypiała też ona.

Urodziła w lutym.

Dziewczynka krzywiła się i wierciła, jakby chciała jak najszybciej z powrotem zagrzebać się w ciepłym wnętrzu Tośki. Tośka ścisnęła rękę matki lub Michała, a kiedy nie miała ich przy sobie, ścisnęła prześcieradło, przekonana, że jeśli przestanie się czegoś trzymać, jej mały świat się rozleci, bo to przecież niemożliwe, żeby wszystko trwało tak dalej.

A jednak trwało. Codziennie rano budziła się w tej samej rzeczywistości owiniętej wokół rozkrzychanego, zaczerwienionego człowieka, któremu na imię dała Eliza. Eliza Stawna – podobało jej się.

Eliza Stawna wyglądała na zdrową: jadła, robiła pod siebie, płakała, nie dawała spać. Tośka wpatrywała się w jej ciemne oczy, próbując sobie wyobrazić, co zobaczą za dziesięć, dwadzieścia lat.

Czasami budziła się w nocy z kolejnego snu o Niewidzialnym Człowieku, zrywała się z pościeli i szybko podchodziła do łóżeczka, które, tak jak połowę rzeczy w życiu, otrzymała od Antoniego Drewsa. Pochylała się nad tym żałośnie kruchym kawałkiem siebie samej i długo słuchała oddechu. Bała się zasnąć, siadała przy ścianie i patrzyła na poruszenia małej piersi w ciemnościach.

Tego samego dnia, kiedy Tośka urodziła córkę, na świat przyszedł syn Knopów, którzy mieszkali w Chojnach, z dala od innych domów, przy drodze biegnącej przez pola w stronę Boguszyńca. W przeciwieństwie do Elizy chłopiec prawie w ogóle nie

krzyczał, nie jęczał, nie sapał, nie marudził. Sprawiał wrażenie, jakby z kształtem świata, na który go ściągnięto, był całkowicie pogodzony. Rodzice dali mu na imię Gracjan.

\* \* \*

Eliza, Eliza, Eliza. Jakby to małe ciało zasysało w siebie wszystko, z czego wcześniej składały się kolejne dni i noce. Płakało, jadło, spało. Wyciągało do Tośki ręce, piło z niej, wtulało się w nią jak zwierzątko. Tośka odeszła z piekarni i zajęła się tylko tym ciepłym, czującym, żywym czymś, w czego istnienie wciąż nie mogła uwierzyć.

Zdarzało się, że dostrzegała w córce Karola, zdarzało się, że siebie. Poza córką dostrzegała niewiele – ot, to, co musiała. Po kilku miesiącach zorientowała się, że świat znowu przyspieszył, że mimo tych wymieszanych ze sobą godzin, dni, tygodni przyspiesza coraz bardziej. Eliza rozpychała się wewnątrz siebie, coraz większa i coraz wyższa, coraz bardziej przypominająca prawdziwego człowieka. Była wszędzie i było jej mnóstwo. Raczkowała, chodziła, biegała. Gęgała, mówiła, powtarzała wymyślane przez Michała wierszyki. Mimo lepkich, czarnych snów przepływających co jakiś czas przez jej matkę, żyła i sprawiała wrażenie, że będzie żyć zawsze.

Mijały kolejne lata, a ona wydawała się jeszcze ten pędzący czas wyprzedzać. Szybko nauczyła się czytać i obrażać ludzi tak, żeby nie czuli się obrażeni. Wchodziła z babcią Sabiną w długie, żarliwe dysputy i najczęściej zapędzała ją w kozi róg. Rozumiała żarty dorosłych, odpowiadała na żarty dorosłych i żenowały ją żarty dorosłych.

O szkole podstawowej nie miała do powiedzenia nic dobrego. Tośka pamiętała własny zachwyty lekcjami, panią nauczycielką i wszystkim, co związane ze szkołą. Czekala na pierwsze relacje córki i spodziewala się, że odnajdzie w nich siebie, ale nie odnajdywała w nich nawet większego sensu. Eliza najczęściej przyznawała, że siedząc na lekcjach, czuje się zazwyczaj, jakby wszyscy mówili w zwolnionym tempie, a jej nie wolno było kończyć za nich wypowiedzi. Na sprawdzianach odkładała długopis na długo przed innymi i próbowała nie nudzić się zbyt ostentacyjnie, co jednak jej nie zawsze wychodziło.

Lepszy bywał od niej jedynie Gracjan Knop, milczący Gracjan Knop, który odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał, ale kiedy już musiał, robił to tak, że Eliza czuła, jak poca jej się dłoń. Nie wiedziała, czy to z podziwu, czy ze złości, pewnie trochę z podziwu i trochę ze złości, może jeszcze z czegoś. Wracala wtedy do domu i uczyła się do późna, przekonana, że następnym razem to ona przyćmi go swoją odpowiedzią na środku klasy, ale następne razy, jak to z następnymi razami bywa, często wyglądały tak samo.

\* \* \*

Tośka obserwowała to wszystko z nadzieją, że jej córka przyniesie kiedyś ze szkoły tróję albo chociaż czwórke. Słowo „geniusz”, którego używali czasem nauczyciele, wydawało się Tośce idiotyczne, ale nie bardzo potrafiła znaleźć jakiś jego mniej idiotyczny synonim, określała więc córkę jako „raczej zdolną”.

Jej raczej zdolna córka przez cały okres szkoły podstawowej nie interesowała się chłopcami, interesował ją tylko Gracjan Knop, a raczej odpowiedzi Gracjana Knopa przy tablicy i jego

oceny. Każdą porażkę głęboko przeżywała, stawała się roztrzęsiona, blada i milcząca. Na każde zwycięstwo reagowała, jakby właśnie zakochał się w niej najfajniejszy chłopak w szkole.

Tośka wyobrażała sobie to wszystko inaczej. Wyobrażała sobie sceny jak z książek, z opowieści. Córke, która będzie zasypiać, słuchając bajek czytanych na dobranoc. Która będzie jej siedzieć na kolanach i zagadywać o historie z przeszłości. Która będą śmieszyły jej głupie miny pokazywane przy śniadaniu. Która, dorastając, będzie na nią patrzeć jak na kogoś mądrzejszego od siebie.

Wiedziała, że nie powinna narzekać. Eliza była raczej zdrowa, raczej grzeczna, w domu raczej pomocna. Gotowała z Sabiną konfitury, jeździła z Michałem na targ. Słuchała jej i rzadko miewała muchy w nosie. A jednak było w tym dziecku coś, co kazało jej budzić się w nocy i przewracać z boku na bok. W tych czarnych godzinach nabierała pewności, że już wkrótce, już za kilka dni, w ogóle przestanie Elizę rozumieć. Wyobrażała sobie, jak Eliza dorasta i przy pierwszej okazji ucieka z Chojen jak najdalej, na koniec Polski albo do innego kraju, gdzie nie będzie musiała być tym kimś, kim musi być tutaj.

Przyglądała się jej czasami i uważnie wypatrywała czegoś w jej ruchach, choć nie wiedziała czego. Któregoś razu, obserwując córkę przez okno, złapała się na tym, że życzy własnemu dziecku, by się potknęło i wreszcie, chociaż raz w życiu, porządnie wywróciło.

\* \* \*

Tymczasem dziecko przestało być dzieckiem. Coraz częściej coś oznajmiało, coraz rzadziej z czegokolwiek się tłumaczyło.

Sprawiało wrażenie, jakby Tośka i całe Chojny do niczego nie były mu potrzebne. Milczało przy posiłkach. Zamykało się w pokoju. Dokuczało wujowi Michałowi i chyba paliło papierosy.

Zmieniło się w wysoką dziewczynę o szczupłej twarzy, zrzuciło z siebie wszystkie Elizki, Elizie i Elcie, pozostało Eliza, prawie ELIZA, i za nic nie chciało się zdrabniać.

Czasami pozwalało zabierać się do Miasta, na gofry. Najpierw obchodziły razem niewielki rynek, oglądały wystawy. W bocznych uliczkach starcy wygrzewali się na słońcu, dzieci biegały za piłką. Z klatek schodowych wylewały się zapachy drewna, wilgoci i smażonych ziemniaków. Kiedy Eliza wzdychała głośno na znak, że ma już szczerze dość, szły pod ratusz i zamawiały słodczyce, po czym pędziły w stronę najbliższej wolnej ławki. Podczas jedzenia nie wolno było się odzywać. Ani Tośka, ani Eliza nie wiedziały, kto tę regułę wymyślił. Zamykały oczy i pozwalały, żeby powoli rozplywały się w nich smaki.

Raz do roku, we Wszystkich Świętych, jeździły na cmentarz. Częściej Tośka nie chciała. Nad grobem Karola opowiadała córce jakiś epizod z jego życia, zawsze inny. Starła się nie mówić zbyt wiele, żeby na następny rok też coś jeszcze zostało.

\* \* \*

Eliza od dziecka nie lubiła zupy ogórkowej i ludzi.

Mama i babcia Sabina powtarzały jej, że zupa jak zupa, ale ludzi toby jednak mogła lubić, ludzie są czasem mili, czasem dobrzy, czasem nawet wspaniali. Pamięta pana Drewsa? Tego, co ma piękny pomnik pod brzozą w Grzegorzewie? Pan Drews to był człowiek jak z bajki. A wujek Michał? Zawsze dla niej taki

dobry. No? Czy wujka Michała też nie lubi? Eliza wysłuchiwała tych argumentów i cicho przytakiwała, jednak ostatecznie ani do ogórkowej, ani do ludzi nie potrafiła się przekonać.

Od tej uczuciowej reguły były tylko dwa wyjątki: Gracjan Knop oraz Julka Duszna.

\* \* \*

Gracjana Knopa Eliza lubiła za wszystko.

Julkę Duszną za to, że była najładniejsza ze wszystkich ludzi na świecie.

Problem z Gracjanem polegał na tym, że nigdy go nie było. W Chojnach rzadko dawało się spotkać go przy drodze, a w szkole sprawiał wrażenie, że tylko czeka, aż będzie mógł stamtąd wyjść. Eliza rozmawiała z nim wiele razy i zawsze odnosiła wrażenie, że Gracjan jest wszystkim wokół, łącznie z nią, śmiertelnie znudzony, co złościło ją tym bardziej, że to ona zwykle była wszystkim znudzona.

Julka Duszna była przeciwieństwem Gracjana, bo wszędzie było jej pełno – nawet tam, gdzie wcale jej nie było, bo ludzie wciąż o niej mówili. Że piękna, że całe życie przed nią, a może i cały świat. Julka pomagała ojcu w sklepie przy drodze do Miasta. Pomaganie to polegało głównie na rozmawianiu, żartowaniu i przyjmowaniu komplementów – transakcjami i noszeniem towaru zajmował się jej ojciec.

Tośka czekała, aż Eliza opowie jej jakąś szkolną historię o koleżance, koledze, o dziecięcej miłości, nienawiści, o pocałunku, kłótni, o czymkolwiek, co by jej pozwoliło wierzyć, że młodość jej córki nie składa się wyłącznie z mądrego Gracjana Knopa i pięknej Julki Dusznej.

\* \* \*

Brat Tośki żył w tym czasie w bezludnym świecie, do którego trafił już jako dziecko, ale o którym nic wtedy nie wiedział. Poruszał się tam wśród krętych labiryntów, nurkował w gęstych obłokach, rozbijał się o fale, pływał pod, nad i pomiędzy, przebijał kolejne miękkie tafle, których nie było, ale które były. Nie można było tego wszystkiego zobaczyć, nie można było tego dotknąć, usłyszeć, można to było włącznie powąchać, więc wąchał.

Michał zapachami napełniał się cały – rozchodziły się w nim od płuc na wszystkie strony, rozpuszczały się w głowie. Czuł je opuszkami palców, czuł je w żołądku, na języku. Kilka razy próbował pokazać swój świat Tośce, mamie, dziewczynie, z którą się długo spotykał. Z czasem zrozumiał, że jego świat dla innych nie istnieje.

Nie wiedział jeszcze, że ten świat każe mu się nauczyć obcego języka, że wymusi na nim jego jedyną zagraniczną podróż i że ostatecznie to właśnie przez ten świat przestanie być Michałem, a stanie się Doktorem, i że później sam już nie będzie wiedział, kim i czy naprawdę jest.

Teraz jednak wiedział, że jego świat różni się od świata innych mniej więcej tak jak czekolada różni się od żuru – niby nie sposób tego porównywać i twierdzić, że czekolada jest lepsza, a przecież jednak jest. Żałował, że inni nie mogą go poczuć, ale jednocześnie cieszył się, że nie mogą, że może tylko on. Posiadanie całego świata dla siebie wydawało mu się czymś niezwykłym.

\* \* \*

Sabina mieszkała w pokoju z widokiem na podwórze, z Michałem za jedną ścianą, z Tośką i Elizą za drugą, ale tak naprawdę mieszkała w listach, tylko w nich była sobą naprawdę.

Mniej obchodził ją nadawca listów, bardziej one same. Te wszystkie marzenia, radości i rozpacze złożone na pół, wsunięte do koperty, opatrzone znaczkiem. Czytając i pisząc, miała wrażenie, że dzieje się z nią coś ważnego – a przynajmniej ważniejszego niż zazwyczaj. Bo zazwyczaj nie działo się nic. Zazwyczaj tylko żyła.

Czasami dziwiło ją, że Józek Kłoda wciąż pisze, że wciąż mu się chce. Tracić czas, wzrok i pieniądze. Przez lata powoli zmienił się na tych gładkich, równo zapisywanych stronach. Był coraz mniej gwałtowny i coraz bardziej powściągliwy. Bardziej opanowany, bardziej chyba męski. Pisał, jakby pisał do siebie. Prawie w ogóle nie dostrzegła już w nim tamtego rozdygotanego chłopaka, który gotów był dla niej na wszystko.

Ona pisywała o wszystkim, co się wokół niej działo, oraz o wszystkim, co się nie działo w ogóle. I właśnie wtedy, opowiadając to, co się nigdy nie zdarzyło i nigdy nie zdarzy, czuła się, jakby stała przed kartką naga i jakby ktoś patrzył na nią przez wąskie, ciemne szczeliny w kształcie liter. Wydawało się, że patrzy wcale nie Józek, ale ktoś inny, coś innego. Coś, co nie interesowało się nią, bo nie interesowało się niczym. Patrzyło. Sabina nie chciała tego czegoś poznać.

Zastanawiała się czasem, co by było, gdyby tych listów i tego odległego Józka Kłody nie miała, ale po pewnym czasie oduczyla się o tym myśleć, bo za każdym razem wychodziło jej, że bez listów i bez Józka nie miałyby prawie nic.

\* \* \*

Eliza nie miała pojęcia o świecie zapachów wuja Michała ani o świecie listów babci Sabiny. Jej świat był zwyczajny i nudny: szkoła, króliki, Chojny, Miasto. Nie lubiła pomagać w domu, przy zwierzętach ani w polu, marzyła wtedy tylko o tym, żeby nie musieć nic robić, ale kiedy nie musiała nic robić, było jeszcze gorzej. Godziny się rozmazywały, dni puchły od nudy. Uczyła się wtedy albo przychodziła pod sklep pana Dusznego.

Zawsze miała nadzieję, że spotka tam Gracjana Knopa, i zawsze spotykała co najwyżej starego Bugaja albo głuchą wdowę Drewsową. Siadała na ławce pod drzewem i słuchała wciąż tych samych opowieści: spalona stodoła, cud z kapliczką, wojna-srojna. Jak się dało, wyciągała Julkę Duszną na plotki i na papierosa. Zazwyczaj się dało.

Szły na łąkę, opierały się o przewrócony pień. Julka była od niej starsza, mówiła o sklepie, o Warszawie, w której była dwa razy, i o mężczyznach, a przede wszystkim o Rochu Boruckim, dalekim kuzynie Stawnych, z którym niedawno się zaręczyła.

Julka najpierw Rocha nie chciała, tak jak nie chciała żadnego z mężczyzn, którzy wirowali wokół niej – nie chciała tych miłych, nie chciała bezczelnych, nie chciała brzydkich, a ładnych nie chciała szczególnie. Im przystojniejszy był jej adorator, tym gwałtowniej jego umizgi odrzucała i tym dłużej oblepiały ją później niespokojne myśli.

Coraz wyraźniej czuła, że jej uroda nie należy do niej, że to ciało i tę twarz dostała przez pomyłkę, bo przecież ona prawdziwa wcale taka nie jest, wcale nie jest piękną – jest tylko Julką Duszną. Coraz częściej towarzyszył jej strach przed tym, że w końcu wszystko to wyjdzie na jaw, że ludzie się zorientują, że tak naprawdę nie jest piękna, a wtedy odepchną ją, zapomną o niej, bo czym będzie pozbawiona swojej urody?

Julką Duszną.

Śniła, jak po ślubie, leżąc obok pięknego męża, przemienia się w poczwarę, jak włosy się jej przerzedzają, nos wydłuża, zęby zachodzą na siebie, jak cała potwornieje. Mijały kolejne lata, a ona odmawiała kolejnym, zyskując powoli opinię dziwaczki, aż w końcu pojawił się Roch.

Roch Borucki oprócz tego, że był raczej przystojny, był też rudy. Rudy, więc fałszywy, więc będzie zdradzał, może i łał, a że będzie też pił, to pewne. Julka mogła mieć każdego, brunetów, blondynów, łysych, więc po co jej rudy? Ale rudy Roch okazał się nieugięty. Przyjeżdżał z Miasta autobusem, przyjeżdżał na rowerze, przychodził pieszo, czasami podobno przybiegał. Zawsze nienagannie ubrany, niezmiyszany, zabawny, często z kwiatkiem i w marynarce.

Julka Duszna widziała, że rudemu Rochowi zależy na niej tak, jak jeszcze nigdy nikomu na niej nie zależało. Trochę podobało jej się to szaleńcze, obłąkane zakochanie jak z powieści, a trochę się tego zakochania bała. Kiedy po spotkaniu zegnęła się z Rochem i odprowadzała go wzrokiem, coraz mniejszego na tle pól, zastanawiała się, co z nim musi być nie tak, że potrafi pragnąć czegoś – czy kogoś – tak mocno. Nie umiała powiedzieć, kiedy przestała się nad tym zastanawiać i kiedy na jego widok zamiast zmieszania zaczęła czuć ciekawość. Śmiała się przy nim, spierała się z nim, słuchała go, szturchała palcem w ramię, wyśmiewała go, trochę obrażała. Czasami ją denerwował, czasami myślała, że trochę ją zauroczył. Najczęściej była po prostu ciekawa, co tym razem zrobi, co powie, czym ją teraz zdziwi. Żaden brunet ani blondyn nic wywoływał jej w głowie takiego dziwnego zamętu jak ten elegancki, niespecjalnie przystojny, uparty i niezmordowany w swoich uprzejmych staraniach rudzielec.

Zakochała się przy okazji.



\* \* \*

Piec, tłuszcz, gorąco. Ale głównie gorąco. Sabina stała na wytartym gumolicie, w ręku ciepły uchwyt patelni, przy nodze wiadro z węglem. Listy listami, ale jeść trzeba, a nawet jeśli nie trzeba, to przecież dzieci muszą. Na przykład placki ziemniaczane. Stała więc i smażyła. Na talerzu leżała już cała sterta. Sabina zastanawiała się, ile jeszcze placków ziemniaczanych usmaży w życiu i czy chciałaby to wiedzieć. Otarła czoło przedramieniem. Nie chciałaby.

Piec, tłuszcz, gorąco.

I nagle pukanie.

Na listonosza za późno, na Nagórnię za wcześnie. Tośka czy Michał w ogóle by nie pukali, Elizka tym bardziej. Sabina niespodzianki lubiła mniej więcej tak samo jak sprośne kawały, czyli w ogóle. Niespodzianka, nawet jeśli miła, wprawiała ją za każdym razem w takie zdenerwowanie, że wołałaby całkiem z niej zrezygnować. Wytarła teraz dłonie o fartuch, podeszła do drzwi, otworzyła.

W progu stał wysoki mężczyzna o pobrużdżonej twarzy. Trzymał przed sobą bukiet kwiatów i uśmiechał się, jakby wystraszony. Coś w tym mężczyźnie było znajomego, jakby gdzieś w środku niego zanurzony był inny, znajomy jej człowiek, który tylko czasem odciskał się tu czy ówdzie.

– A pan... – zaczęła i zamilkła.

– Jaki tam pan? – Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Józek. Józek Kłoda.

\* \* \*

Ona miała sześćdziesiąt siedem lat, on pięćdziesiąt dziewięć. Wyglądał na dużo starszego. Był za chudy na całą tę skórę, która wisiła mu na ramionach i szyi. Poruszał się zwinnie, ale trochę kulał. Nie był łysy, ale prawie. Oczy te same, ale nie do końca.

Sabina patrzyła na niego i w każdej jej myśli było jakieś ale. Siedzieli naprzeciw siebie, przedzieleni stertą placków ziemniaczanych, których nie ruszyli. On opowiadał o podróży, o pociągach, o poznanych ludziach i trochę o przyszłości; tłumaczył wszystko po kolei, jakby koniecznie chciał usprawiedliwić tę swoją obecność w jej domu, w jej kuchni, przy jej stole.

Sabina słuchała tego, co mówił, i patrzyła na to, o czym nie mówił, a co trochę ją przerażało: dwie duże walizki, torba na ramię, garnitur. Chyba nowy.

– Józek, ty się wyprowadziłeś?

Potwierdził w milczeniu, ruchem głowy, i patrzył na nią jak na kogoś, kto właśnie ma odczytać wyrok w jego sprawie.

– I gdzie... – Nie dokończyła, odchrząknęła i wypuściła powietrze.

– No, tutaj, w Chojnach. Jeśli nie masz nic przeciwko.

\* \* \*

Nie wiedziała, czy ma coś przeciwko. Niby nie miała. Ale.

Ale przecież co będą ludzie myśleć? I co właściwie miała myśleć ona sama? Józek przyjechał do niej, do sześćdziesięciosiedmioletniej kobiety, która kobiety miała w sobie już niespecjalnie dużo, a na pewno mniej niż wtedy, kiedy ją widział ostatnio, w tamtym odległym, innym świecie. Przyjechał do niej, która

już sobie ułożyła życie i której było w tym życiu dość wygodnie, w takim stopniu, w jakim w ogóle może być w życiu wygodnie.

Przyjechał i co?

I co tu będzie robił, gdzie będzie mieszkał, i jeszcze dużo, dużo takich co.

– Józek, ale co ja mogę mieć przeciwko... – Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się. – Przecież jak chcesz, to mieszkać.

Zanim dokończyła, poczuła, że to nie miało być tak, ale już powiedziała, powiedziało się samo. Twarz mężczyzny, którego listy utrzymywały ją przy życiu, powoli się przed nią osuwała, jakby to, co podtrzymywało ją dotychczas, w końcu pękło.

– To znaczy... Oj, Boże, no przecież wiesz. Chcę, chcę, żebyś tu mieszkał, no. Chcę. Tylko...

Tylko nie wiedziała co. Nie wiedziała, czy teraz zmieni się mało, czy dużo, czy może wszystko. Nie wiedziała, co na to Tośka, Michał, co na to wszyscy inni. Wielu rzeczy nie wiedziała, a w głowie w kółko dudniły jej dwa słowa: „za późno”. Za późno na niego, na nich, na wszystko za późno. Przeżyli już swoje życia, zostały im zmarszczki, wspomnienia i głupie placki ziemniaczane.

\* \* \*

Na ślub Julki Dusznej czekały całe Chojny.

Kobiety czekały po prostu: bo ślub. Mężczyźni czekali, żeby na własne oczy się przekonać, jak najładniejsza dziewczyna w okolicy robi z siebie pośmiewisko, wychodząc za tego rudego karakana.

Dzień był ciepły, nie za ciepły. Można było wystawiać twarz do słońca, nie trzeba się było pocić. Żniwa skończyły się dwa tygodnie wcześniej. Mieszkańcom Chojen pozostały po nich

brązowe twarze i znikający wolno ból nadgarstków, ramion, pleców. Stali wszyscy przed kościołem w Grzegorzewie, stali niecierpliwie, trochę podekscytowani, trochę głodni.

Ojciec przywiózł Julkę starym motocyklem M-42, który odmalował w stodole w tajemnicy przed wszystkimi i który błyszczał teraz brązowym lakierem, jakby dopiero co wyjechał z fabryki. Julka ledwie pomieściła się w bocznym koszu z całą tą swoją suknią, z welonem i z tym wszystkim, co od niej biło na odległość. Ojciec pomógł jej wysiąść, pomógł przejść kawałek, pomógł wygładzić tam, gdzie powinna być wygładzona. Ostatecznie, dźgnięty jej na wpół rozbawionym i na wpół zniecierpliwionym wzrokiem, dał spokój.

Julka stała, a wszyscy patrzyli.

Wygłądała, jakby zaraz miała się rozwiać na białe smugi. Nie wiadomo było, gdzie kończy się suknia, a zaczyna ona. Wiatr szarpał ją raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby sam chciał to sprawdzić, a ona powiewała od włosów po samą ziemię.

Koledzy pana młodego byli rozgadani, radośni, a Julce przeszło przez myśl, czy nie są czasami rozgadani i radośni za bardzo, ale zaraz skupiła się na czymś innym. Druhna zagadywała ją, unosiła jej ręce, kręciła głową, wzdychała. Rozglądała się wokół siebie, uśmiechnięta, uśmiechnięta za bardzo.

Pan młody nie przyjeżdżał, zaraz przyjedzie, już, zaraz, szykował się jeszcze, będzie zaraz, no, ślicznie wyglądasz, Julcia, prześlicznie, tak, za momencik będzie.

Julka Duszna nie denerwowała się, nie martwiła, nie bała niczego. Czekwała spokojnie, bo dobrze знаła swojego Rocha i wiedziała, że nie zrobiłby jej czegoś takiego, wiedziała, że jeszcze pięć minut i się pojawi. Ale Roch nie przyszedł ani za pięć minut, ani za godzinę, ani w ogóle.